Autor: Tadeusz

Old time rock and roll

(Konkurs “Racibórz prozą zaczarowany” 2015)

Tyle było chwil
Dla których nie znalazłam odpowiednich słów
A przecież to, co nienazwane - gubi się
To, czego język nie ocali, traci sens
W tę stronę bezpowrotnie zbliża wprost do nieistnienia
Zwinny mój język jest, posłuszny mi
Pieści się słowem, stwarza Ciebie
i
Ocala cię
Ocala cię
Ocala cię

Fragment piosenki Anny Marii Jopek pt. *To co nienazwane*

Autor: Tadeusz

1.

To wszystko się dzieje na granicy dwóch powiatów, na granicy dwóch województw, na granicy dwóch światów, a różnych światów też są dwa rodzaje: bo to jest wyobraźnia i rzeczywistość oraz życie i śmierć, i choć to są zawsze dwa światy, a granica jest widoczna, to granica jest po to, żeby ją przekraczać, więc łącznikiem jest *i,* a nie kontra.

W jednym z powiatów dokonuje się udar, zapalenie płuc i śmierć, jako finał i akt transgresji. Nie powiemy, jaki to powiat i jakie miasto, żeby nie ciągnęła się za nimi mroczna sława. Drugim z miast jest Racibórz, który widzimy jako kipiącą życiem enklawę, ratującą przed rozpaczą i pustką żałoby, Racibórz z zakorkowanym rondem Solidarności, na którym właśnie stoi nasza bohaterka i czeka aż dojedzie do kościoła świętego Mikołaja, by w strzelistej przestrzeni sakralnej wypuścić ku Bogu z prędkością światła błagalną modlitwę o siłę i spokój ducha, bo już każdą komórką młodego i energicznego ciała czuje, że coś się stanie.

Po prostu zauważyła to. Zauważyła to, że jej dziadek stał się stary kilka godzin wcześniej tego popołudnia gdzieś w środku tygodnia, na przełomie zimy i wiosny. To było jedno z tych nieprzyjemnych i niespodziewanych objawień, które trwają w czasie rzeczywistym mniej niż sekundę, a w człowieczej głowie w efekcie slow motion rozciągają się, zapętlają, migają i powtarzają jak w postmodernistycznym teledysku, z tą tylko różnicą, że jaskrawość kolorów z teledysku ustępuje miejsca siwiźnie przerzedzonych włosów, ogorzałej szarości niegdyś śniadej twarzy, blednącym, a swego czasu figlarnie niebieskim oczom, rozedrganym dłoniom, o których dynamice decyduje choroba Parkinsona i nierówno zapiętym guzikom na flanelowej koszuli w granatowo-błękitną kratę. To było jedno z tych objawień, które sieją spustoszenie w emocjach, zmieniają postrzeganie wszystkiego wokół, sprawiają, że przeszywa cię dojmująco zimny sztylet, a to, co możesz zrobić, to przyklęknąć przy fotelu, złapać go za zgrabiałą dłoń i powiedzieć czulej niż zwykle: - Cześć dziadziuś…
Jedynym pocieszeniem w tych trudnych momentach jest to, że wprost proporcjonalna do siły pozbawiającego złudzeń objawienia jest energia miłości, która z potężną mocą wypełnia cię i emanuje poza ciało. Wówczas cząsteczki powietrza drżą i tylko twój dotyk i spokojny głos mogą wyciszyć trzęsącą się rękę. Pocieszenie to jednak może okazać się za słabe i nie będzie w stanie zatrzymać załamującego się głosu i łez napływających do przed momentem zdziwionych oczu.
Trzeba zrobić manicure.

Autor: Tadeusz

Miska. Woda. Gąbka. Mydło. Cytryna do wybielenia dłoni poszarzałych od tytoniu skrywanego po kieszeniach. 35-letni przybornik z narzędziami do paznokci Solingen Pferling. 9 palców, bo lewy kciuk odcięła kiedyś maszyna. Delikatny, kojący dotyk, który na te kilka chwil potrafi wyprowadzić rękę z permanentnego rozedrgania.

Trzeba zrobić pedicure. Świeża woda. Nie za gorąca. Namoczyć stopy 20 minut, a jeśli się uda to i dłużej. Do grubych paznokci wziąć najcieńsze nożyczki. Tylko one z precyzją potrafią wydobyć pożądany kształt i długość. Jedna noga, ręcznik, druga noga. Podnieść, wyciągnąć, przełożyć.

Wylać wodę. Włożyć skarpetki. Wypić herbatę. Wsiąść w auto i odjechać szybko z miasta naznaczonego zmianą do miasta - enklawy. Normalnie to jeszcze się rozmawia o ważnych życiowych sprawach, obiedzie, pracy i tym, co teraz na ogrodzie. Ale moment epifanii rządzi się swoimi prawami i zmienia znany rytm spotkania.

I właśnie teraz nasza bohaterka, która ma na imię Alicja, po tym, jak przeszła wstrząsające dla niej wtajemniczenie, gdzie koniec życia, nie szepcze, a spogląda na ciebie oczyma dziadka, stoi w korku przed rondem Solidarności na wysokości cmentarza. Na wysokości szpitala. Na wysokości sklepu ze stylowymi meblami i z nowym, ogromnym czerwonym szyldem „Artantyk wystrój wnętrz". W takim właśnie, o ironio, a nie innym korku.

Dlaczego te auta jadą tak powoli, myśli, dlaczego nie mogę przestać widzieć jego nagle postarzałej twarzy…

Na rondzie 3 zjazd, na Opole. Auto zostawia na parkingu pralni i śpieszy do świątyni. W chłodzie strzelistego kościoła świętego Mikołaja, dziewczyna postanawia spędzić popołudnie, skoro Góra postanowiła otworzyć jej oczy, niech teraz uspokoi przerażoną duszę. Niespokojna myśl szybko biegnie do nieba. Boże, który jesteś, daj mi siłę, żebym mogła mu pomóc, gdy skończy się jego czas. Daj mi go złapać za rękę, szepcze Alicja z bijącym sercem, szukając w głowie jeszcze jakiejś oficjalnej modlitwy, żeby mieć pewność, że wszystko odbywa się po bożemu. Aniele Boży, stróżu jego, ty zawsze przy nim stój… To jest dobry kościół, myśli z uśmiechem dziewczyna. Tutaj ochrzcili jej bratanka i wyrósł na zdrowego, wesołego chłopczyka. To jest dobry kościół.

A teraz trzeba wziąć oddech, zetknąć się dla równowagi z młodą kipiącą krwią, skontrastować doświadczone przemijanie z pełnią rozkwitu i siłą młodości, więc Alicja wstaje z klęczek i będzie jechać na miasto do koleżanki, mądrej wspaniałej i dobrze gotującej zupę dyniową z imbirem. I kiedy przejeżdżając powoli rondo, ulicę Londzina, Wojska Polskiego, Wileńską obserwuje rytm miasta, kobiety z siatkami zakupów, grupki przyjaciół w ogródku piwnym,

kiedy Alicja już w głowie planuje, że rano pójdzie na fitness, a później spacerować będzie po lesie w Oborze, podstępny i cyniczny los zatrzymuje jej auto na pasach, aby przepuściła starego mężczyznę w znoszonych ubraniach, miejscowego pijaczynę, co chodzi i zaczepia, żeby mu dać złotówkę, to popilnuje auta na parkingu przy Biedronce. Najwyraźniej jest już po pracy, stwierdza w duchu dziewczyna i znowu jej myśl znów na chwilę ulatuje niespokojnie za granicę skąpanego wieczornym słońcem miasta. I dojeżdża, i siedzi z Grażyną, je tę zupę i rozmawia. – Co u ciebie w tych dniach? – A nic. Dziadek się mi zestarzał.

2.

Dyscyplina wewnętrzna. Bądź tu i teraz. Z ogromnego kuchennego okna w starym domu na Zamkowej, który zalany był po sufit w pamiętnym dziewięćdziesiątym siódmym, Alicja myjąc garnki, obserwuje stały obraz. Po lewej stary browar i stary zamek dostojnie dotrzymują jej towarzystwa. Na wprost brama na stadion OSiR-u, daszki osłaniające sprzęty siłowni pod chmurką, dachy domów osłonięte parkowymi drzewami z konarami i liśćmi wyznaczającymi rytm pór roku, cierpliwymi świadkami nieustającego przemijania. Korony drzew niezmiennie górują nad przechodniami, którzy pojedynczo lub w grupach codziennie przemierzają tę trasę. Szybko, powoli. Mając konkretny cel lub tylko spacerując, żeby spacerować. 40-letnia kobieta w granatowym płaszczu z naręczem czerwonych róż. Autobus z bandą roześmianych dzieci, które przyjechały do Aquaparku. Młoda piękna mama z dwuletnim synem, który rozpromieniony obserwuje popisy nastolatków w skateparku. – Dzieci! – cieszy się chłopiec i wskazując palcem małej dłoni na chłopców. Uśmiechnięta matka głaszcze go po głowie. Korony drzew szumią. Z kościoła Jana Chrzciciela rozlega się znana melodia. I kiedy Alicja tak myje gary, wpatrując się z pokorą w okienny krajobraz, dzwoni telefon. Mama. Alicja już wie, i drzewa też wiedzą, że zaraz przyjdą złe wiadomości zza granicy enklawy.

- Dziadek miał udar, mówi mama. - I ten lekarz powiedział, że udar się dokonał.

Nie trzeba nic więcej. Alicja patrzy na wierzchołki drzew. Spokojnie zakręca wodę. Trzeba opuścić słoneczne miasto.

Zawsze wiem, kiedy nadchodzi śmierć w mojej rodzinie, myśli dziewczyna. Kiedy ciało dozna takiego wstrząsu, że choć podejmie jeszcze podejmie rozpaczliwą walkę wspartą siłą woli i charakteru, to wysiłki te będą nadaremne. Za pierwszym razem, gdy umierała babcia, była zaskoczona. Tymi pleśniawkami na języku, spuchniętymi rękoma, zniekształcającą się twarzą. Teraz będzie tak samo, myśli, jestem na to gotowa. Jak lekarz wam kiedyś powie: udar się dokonał, to wiedzcie, że to koniec jest, amen, ament, kaplica. U starszych ludzi wywiązuje się jeszcze wówczas mordercze zapalenie płuc. Śmierć następuje po około dwóch, trzech tygodniach. Alicja bardzo dobrze zna tę medycynę. Wszystkie te miasta ze swoimi szpitalami, OIOM-ami, salami wzmożonego nadzoru, gdzie pomiędzy butelczynami wypełnionymi pozornie ozdrawiającymi płynami, strzykawkami, igłami, rozdzielnikami leków, kartami wypisu zwłok do kostnicy, monitorami, na których wyświetlają się kolorowe kreski i tajemnicze cyfry, będące bardziej wyrazistym świadectwem istnienia i życia niż samo ciało leżące pod szpitalną kołdrą, wszystko to ją nauczyło rytmu gasnącej starości, nierównego, wypikanego monitorkiem z zielonymi i czerwonymi wykresami i cyframi, które przy rytmie serca pokazują bezsensownie 41, 36, 0, 21.

3.

To wszystko dzieję się bardzo szybko. Ani wódka w zamkowym parku wypita ani zachód słońca na Ocickich polach nie koją bólu. Alicja szuka rozpaczliwie dawnego rytmu codzienności, w porannym programie lokalnego radia, w treningu na siłowni pod chmurką. Te trzy tygodnie nie są przyjemne dla oka i dla serca. Życie w kontraście dwóch powiatów. Codziennie jedzie tam. Do szpitala. Się tak siedzi. Się tak żegna, tak patrzy, te łzy tak płyną. Tak jeszcze ten dziadek umie nawet mówić w czwartek, nawet jeszcze dość wyraźnie. I mówi, Alicjo, dziękuję ci, jesteś wspaniałą wnuczką. I go tak obejmuje za głowę i mówi przez te łzy, dziadziuś to ty jesteś wspaniałym dziadkiem i to ja ci dziękuję.. I tak się siedzi i się patrzy na siebie.

A później jedzie szybko, chodź drogę widać niewyraźnie, bo oczy puchną i puchną i dopiero za tabliczką z napisem „Racibórz" słońce świeci jaśniej, bicie serca zwalnia. I to jest Racibórz, miasto bezpieczne, miasto życia, miasto przyjaciół i rytmicznych wygibasów na zajęciach fitness. W parku jedzie rowerem, na dziedzińcu zamku przysiada na studni. Rodzice z dziećmi, wycieczki szkolne. Życie. Życie. Kamień z serca.

W zaciszu pokoju pozostaje modlić się i pisać nieudolne wiersze.

Ta ręka co drży
Jeszcze na pościeli
Półprzymknięte oko
W najintymniejszej chwili
Z pokornym uśmiechem
W którym łamie się miłość
I ból
Sala wzmożonego nadzoru
Portal do wieczności
Cewnik rura monitor
Trzeba bezradnie czekać
Aż przejście się dokona
Cicho i boleśnie

4.

W piątek Alicja zjada powoli śniadanie, patrząc w kuchenne okno, wsłuchując się w melodię, którą niezmiennie wygrywa wieża kościoła. Wyjść na ogród, zaczerpnąć w piersi zapach rosy letniego poranka, dźwięk ogrodowej ciszy, wysłać w kierunku nieba prośbę o błogosławieństwo. Trzeba jechać, mówi do drzew za bramą OSiR-u. Drzewa nic nie mówią.

No i przyjeżdża do innego miasta, do tego szpitala tam, i patrzy i ten dziadek już nie mówi, nie połyka, bo następują jakieś mikroudary. I chce coś powiedzieć, ale nie umie, ale jeszcze walczy, i to zapalenie płuc się pogłębia, paraliż się pogłębia, już się nie rusza, już nie mówi nic i te oczy, które już wiedzą, że zgasną, i ta miłość wdzięczność i ból w odchodzącej pokorze i wstyd, że nie umie odegnać tej śmierci, a jest jej dziadkiem i to wszystko jest w jednym spojrzeniu. I to jedno spojrzenie trwa około dwóch sekund, no strasznie strasznie, strasznie długo i kiedy ona już ostatkiem sił wychodzi, bo nie chce widzieć tej agonii wie, że musi to wszystko jakoś zrównoważyć.
I szybko tym starym autem. W spazmatycznym łkaniu. Byle tylko dotrzeć za granicę, którą wyznacza tablica. Rondo, na szczęście puste, Londzina, Wojska Polskiego, schodami w górę, i wbija się ustami w usta mężczyzny, łapczywie spijając z nich jego młodość, zapadając w żar

ramion, jędrność ciała, uścisk dłoni, siłę bioder i nikt, absolutnie nikt się nie domyśla, że w jednym z mieszkań spółdzielni mieszkaniowej dwoje kochanków z bezwstydną rozpaczą próbuje zbuntować się przeciw śmierci. I kiedy rano budzi się splątana w jędrne nogi, otwiera oczy i zatapia się w spojrzeniu jego brązowych oczu, pamięć płata okrutnego figla i zaciera zastany obraz. Figlarność oczu kochanka zastępują tamte oczy. Oczy ukochanego dziadka. I już ma ten obraz. Już ma go tu na zawsze. W bibliotece to widzi, na remontowanej drodze to widzi, z okna kuchennego to widzi. Już nie jeździ za granicę. Wszystko jest tu. Akty miłosne i milczenie w kościele. Fitness i pisanie wierszy. Samochody w równym rzędzie ustawione na parkingu z czwartego piętra. Największym wsparciem są drzewa w Parku Zamkowym. Milczące i poddające się rytmowi wiatru.

Złowieszcze, telefoniczne relacje z zagranicy.

Że go oddali do domu, że przyjeżdża to pieprzone pogotowie i zabierają go jeszcze raz i traci zmysły i tak bardzo cierpi, a pielęgniarki mówią niestety dziś jeszcze nie umrze ma za silne serce.

A potem drugiego lipca dzwoni mama i mówi dziadek zmarł za dwadzieścia piąta.

- Dziadek zmarł pół godziny temu, mówi Alicja do trzynastoletniej bratanicy, która odwiedza ją wielkim domu naprzeciw stadionu.

- O – mówi Sabina. – To co teraz? – Nic, zbieraj się, zawiozę cię do domu i jadę na fitness – odpowiada Alicja.

Porządek dnia, o którym co piętnaście minut przypomina melodia z kościoła Jana Chrzciciela. Rozkład zajęć fitness clubu. Drzewa. Dachy. Zamek. Ogród. Browar. Ludzie.

De profundis clamavi ad Te, Domine
I wiem, że nie na próżno wołam
A niemy krzyk rozdziera powietrze wokół
Jak wczesnośredniowieczny miecz
Rozjuszonego wojownika